

Życie zaczyna się po północy — swistakos

Od autora: Nie jestem do końca pewien, czy to opowiadanie jest tak do końca obyczajowe, ale wydaje mi się, że tak.

To ja

Jestem już trochę po pięćdziesiątce, więc minęła już północ mego życia. Stoję wpatrując się w krajobraz za oknem. Szklana tafla gładkiej przezroczystej szyby oddziela mnie od niego. Jest dźwiękoszczelne, więc nie słyszę odgłosów z zewnątrz, tylko obrazy, jak w niemym kinie, przesuwały się przed oczami.

Nieco w dole ulica oddzielona chodnikiem biegnie szaroczarным prostym pasem ginąc gdzieś w oddali. Wciąż jadą nią samochody, jeden za drugim, jednym sznurem. Jest na niej duży ruch, w związku z czym ciągle są korki, a właściwie nieustający jeden wielki korek. Tak to już jest w wielkim zatłoczonym mieście. Chodnikiem idą ludzie, ich także jest dużo, tyle, że tworzą prawie zwarty tłum, trudno jest się nim przemieszczać. W ogóle jakakolwiek komunikacja, czy to kołowa, czy piesza o tej porze roku jest utrudniona ze względu na to natężenie ilości pojazdów i istot ludzkich. Ja się tym nie przejmuję, przynajmniej na chwilę obecną, przecież i tak siedzę w domu, a tu nie ma korków, lub jakichkolwiek tłumów, aczkolwiek mieszkając w niespełna dwudziestometrowym pokoju z siedmiorgiem ludzi, czasami wydaje mi się, że jednak jest nieco przyciasno. Nawet jeśli, to przebywając tu praktycznie całe moje życie, miałem naprawdę dużo czasu, by przyzwyczaić się do tej sytuacji. Nie jest źle, mogło być gorzej, na przykład gdyby mieszkało tu więcej ludzi i do tego każdy posiadałby psa, wtedy to byłby już tłok, wszyscy obijaliby się o siebie. A tak przynajmniej mam na tyle wolnego miejsca, by móc stać przy oknie i patrzeć spokojnie na sceny z życia za nim. Już dawno postanowiłem sobie w duchu brać życie takim, jakie jest i w każdej sytuacji, o ile to możliwe, widzieć jej dobre strony i nie narzekać na złe, one bez tego i tak są nieuniknione. Poza tym tu nigdy nie jestem sam, w związku z czym w takich warunkach trudno się nudzić. Teraz też pozostali przebywają gdzieś tam w pobliżu za moimi plecami. Niektórzy z nich sądzą, że jestem wariatem, lub chociaż mam coś nie po kolei poukładane w klepkach, bo codziennie stoję przed tym oknem w milczeniu wypatrując za nim nie wiadomo czego. Ja osobiście uważam, że robię to z czystej ciekawości, ponieważ widok, choć niby codziennie podobny, jednak zawsze jest w jakiś sposób inny. A tak w ogóle, to się tym nie przejmuję. Dlaczego miałyby mnie interesować opinie innych, nawet jeśli są moimi współdomownikami? Niech patrzą lepiej na siebie. O, na przykład dzisiaj, ale to już temat na kolejny rozdział. Acha, zanim doń przejdę, wyjaśniam, iż piszę coś rodzaju pamiętnika, czy zapisków z tego, co mi się podobą. To właśnie ten tekst.

Ona

Po wyjaśnieniu z końca poprzedniego rozdziału, spokojnie mogę przejść do meritum sprawy, a właściwie opowiem, co takiego się dziś zdarzyło. Może to nie było nic niezwykle szczególnego, lecz jakiś sposób chwilowo zapadło mi w pamięć i jakoś tak ni z tego, ni z owego zapragnąłem to opisać, co czynię poniżej. Tak, tak, już zaczynam.

Pani Pelagia mieszka tu także od urodzenia, choć nieco krócej ode mnie. Dzieje tak z tego prostego powodu, że jest po prostu młodsza ode mnie. Nie jest jakoś specjalnie urodziwa, ale też brzydką bym jej nie nazwał, w mej ocenie stanowi przykład zwyczajnej, niczym niewyróżniającej się kobiety. To spostrzeżenie dotyczy jej wyglądu, bowiem sądzę, iż nie ma ludzi nieciekawych, są tylko bardziej lub mniej inni od nas samych, czyli na przykład ode mnie. Mi osobiście to nie przeszkadza. Innym? No, nie wiem, zresztą interesuje mnie tylko ma opinia na ten temat.

Więc Pelagia, bo zważywszy na fakt znania jej od dziecka i jej młodszy wiek od mego, nazywam ją po imieniu i zwracam się do niej per „ty”, co zresztą ona i inni współdomownicy akceptują i nikomu to nie przeszkadza. Uf, ale wywód, lecz jest jak najbardziej prawdziwy. Owa młodsza ode mnie kobieta śpi na łóżku ustawionym tuż przy moim, więc widziałem, jak wstała dziś rano. Fakt przebudzenia się i wyjścia z łóża nie stanowił w jej przypadku niczego szczególnego, powtarzała tę czynność codziennie. Ranne wstanie mogłoby być zwyczajne, gdyby nie fakt, że dziś zrobiła to godzinę wcześniej niż zwykle. Nikt może by na to nie zwrócił uwagi, gdyż zwykle wszyscy o tak wczesnej porze w tym domu jeszcze śpią, jednakże dziś jakoś tak przebudziłem się i zobaczyłem to nieprzeciętne zjawisko. Zanotowawszy ten fakt w podświadomości zasnąłem ponownie. Po pewnym czasie przebudziwszy się na dobre poczułem unoszący się z kuchennego aneksu zapach smażonej jajecznicy na boczku. Podniósłszy głowę zobaczyłem Pelagię stojącą przy naszej miniaturowej kuchence elektrycznej pichnącej na patelni wymienioną przed chwilą potrawę. Teraz z kolei ja wstałem z łóżka i przeszedłszy w pobliżu kobiety wszedłem do łazienki. Gdy z niej wyszedłem ujrzałem, jak Pelagia rozkłada dwa talerze na miniaturowym stoliku ustawionym między kuchnią, a reszta pokoju. Tylko tam ów mebel zdołał się zmieścić. Powiodłem nieco zdziwionym wzrokiem po zastawionym stole, dziwiąc się, że ma zamiar jeść z dwóch talerzy jedną i tę samą potrawę. Moje skonsternowanie jeszcze się powiększyło, gdy nałożywszy podzieloną na pół porcję na oba naczynia zapraszającym gestem zaprosiła mnie do stołu. Na co dzień było tak, iż każdy sobie przygotowywał posiłki i raczej nie dzielił się nimi z innymi. Skoro zaprosiła, postanowiłem z tego skorzystać i skwapliwie zasiadłem za stołem. Zanim rozpocząłem jedzenie, spojrzałem pytającym wzrokiem na kobietę. Ta skinęła głową i powiedziała cicho zwracając się do mnie: „smacznego”. Podziękowałem za to i ze smakiem zjadłem mile pachnącą ciepłą potrawę. Po jedzeniu ponownie podziękowałem i spytałem czemu dziś potkał mnie tak znamienity zaszczyt jedzenia części posiłku przygotowanego przez tę kobietę. Pelagia wzruszywszy nieco ramionami nic nie odpowiedziała, tylko mile się uśmiechnęła. Skoro nie chciała mówić, nie naciskałem więcej i się już o to nie spytałem. Stałem przed oknem, by podziwiać widok za nim, słyszałem, jak pani gdzieś tam w tyle ubiera płaszcz i wychodzi z mieszkania. Zapewne jak zwykle szła do pracy, wróci z niej najwcześniej za osiem, a nawet trochę więcej godzin. No tak, dzień jak co dzień, choć inaczej rozpoczęty.

Pani Pelagia wróciwszy z pracy zastała mnie przy oknie, skąd nie ruszyłem się przez ten czas i ni stąd, ni zowąd nagle spytała mnie cóż ja takiego ciekawego widzę tam za nim. Nie pokazałem po sobie jak bardzo zaskoczyła mnie tym pytaniem, tylko jeszcze bardziej intensywnie patrzyłem przed siebie. Kątem oka widziałem jak westchnąwszy wymownie wzruszyła ramionami i zaczęła rozpakowywać swoje zakupy, które przydźwigała w dużej reklamówce. I wtedy to do mnie dotarło z całą jasnością sytuacji. Tym na pozór niewinnym pytaniem ona próbowała wtrącić się w me życie, zresztą wspólne śniadanie było prelude tego zdarzenia. Rzuciwszy w jej stronę kose, zbulwersowane spojrzenie zobaczyłem jej plecy, bowiem akurat stała odwrócona tyłem do mej skromnej osoby. Odwróciłem wzrok od niej i znów patrzyłem przez okno. Na pozór spokojny, przez długi czas rozpatrywałem i miałem w myślach to, co do mnie dotarło, po czym doszedłem do wniosku wyłuszczonego w poprzednim rozdziale. Tego dotyczącego patrzenia na siebie, nie na innych.

Moczybużka

Oprócz nas, to znaczy mnie i Pelagii mieszkają tu inni. Na przykład Wiesiek Moczybużka. To drugie jest ksywką, jaką mu nadaliśmy ze względu na jego skłonność do moczenia jej napojami wysokowymi. Jak to mawiał codziennie: „Dzień bez czystej stanowi dla mnie stracony dzień. Dlatego piję, by go nie stracić” Po tych słowach zawsze sięgał pod swoje łóżko stojące w naprzeciwległym rogu od mojego i wyciągał schowaną tam wcześniej flaszkę „czegoś czystego” oczywiście procentowego. Otworzył ją de-

lektował się zawartością butelki tak długo, aż nie osuszył jej do dna. Wtedy zadowolony kładł się do swego łóża i zagrzebany w przybrudną pościel zasypiał. Nawet nie wiem, czym poza tym się żywił, nigdy nie widziałem go jedzącego, w domu poza alkoholem nic nie spożywał. Może dlatego był chudy jak szczapa, taki chodzący żywy szkielec. Na ogół wiele się do nas nie odzywał, zdanie o dniu bez „czystej” kierował raczej do siebie, pewnie po to, by usprawiedliwić swą skłonność opróżniania każdej pełnej flaszeczki zawierającej procentowy roztwór. Taki już był i sądzę, że na obecnym etapie nic nie mógł na to poradzić, zresztą wcale nie chciał się zmieniać. No cóż każdy ma swoje przyzwyczajenia: jeden wciąż pije, a drugi dzień w dzień wciąż patrzy przez okno. No cóż, życie. Poza tym Moczybużka jest spokojnym, nikomu niewadzącym szarym człowieczkiem. I niech taki pozostanie.

Ten to ma

Któregoś dnia wpadł do nas sąsiad. Ta dosłownie, przez balkon. A jak to zrobił? Otóż, podobno wieszał pranie i za mocno się wychylił na zewnątrz, potem stracił równowagę i poleciał przez barierkę w dół, wprost na nasz balkon. Zakończywszy tę czynność rąbnął z głuchym impetem w wykładaną kafelkami posadzkę tarasu i tylko dzięki temu, że mieszkał tuż nad nami przeżył ten upadek, ale i tak się połamał. Usłyszawszy hałas wszyscyśmy się zlecieli na balkon i go zobaczyliśmy. Leżał jakoś tak lekko po-
wyginany na jednym boku ciężko dysząc. Nie mógł się podnieść, choć kilkakrotnie próbował to uczynić.

„Mała Mi”, tak nazwaliśmy Chinkę, mieszkającą w tym samym pokoju, co ja i w związku z tym będącą ma współlokatorką, okazała najwięcej zimnej krwi i chwyciwszy komórkę, znaczy taki telefon, zadzwoniła po pogotowie. W oczekiwaniu na nie patrzyliśmy na pojękującego sąsiada, ja w milczeniu, niektórzy zaś prosząc go by się nie ruszał. Widać było, że człowiek skutecznie stara się dostosować do tych słów. W końcu pogotowie przyjechało. Już z daleka słyszeliśmy intensywny sygnał karetki. Ambulans zatrzymał się pod naszą klatką, a na balkon wkrótce wkroczyli sanitariusze, którzy ostrożnie umieściwszy sąsiada na noszach wynieśli go do karetki. Pogotowie odjechało na dźwięczącym sygnale, a sąsiad chyba już więcej nie będzie miał ochoty nas odwiedzić, przynajmniej nie w taki sposób. Tak sadzę. Choć z drugiej strony, kto go tam wie?

A co do „Małej Mi” była ona autentyczną Chinką pochodzącą stamtąd. Nie do końca wiemy, dlaczego z niego wyjechała osiedliwszy się w naszym kraju, w każdym razie pewnego pięknego słonecznego dnia stanęła w progu naszego mieszkania i ni stąd, ni zowąd postanowiła u nas zamieszkać. Dlaczego akurat tu? Podobno dlatego, że tylko my ze wszystkich lokatorów tego domu zgodziliśmy się ją przyjąć, poza tym polubiła, jak to określiła, tłok panujący w naszym mieszkaniu, podobno przypominał jej warunki panujące w jej kraju ojczystym. Zważywszy na ogromną ilość ludzi w Chinach jestem w stanie w to uwierzyć, poza tym jej obecność wcale mi nie przeszkadza. Nieco zastanawiający jest fakt, iż ona jeszcze zanim znalazła się u nas znała bardzo dobrze nasz język znacznie różniący się od jej ojczystego i posługiwała się nim nie tylko z biegłością, ale mówiąc prawie bez obcego akcentu. Tak, Chińczycy bywają zaskakujący.

No, tak naprawdę miała na imię Mi Yong Czangi, lecz wszyscy zwali ją w skrócie Mała Mi, tak było prościej i wygodniej. Mieszka już z nami dobrych kilka lat i wygląda na to, iż zadomowiła się tu na dobre. A może raczej „zakotwiczyła”, jak by to co niektórzy określili.

Jest osobą nie za wysoką, jak większość Chińczyków, o drobnej budowie, czarnych włosach i ciemnych oczach. Jej twarz ma wyraźne azjatyckie rysy. Na moje oko liczy sobie trzydzieści kilka lat, lecz nikt z nas nigdy nie pytał jej o wiek, a ona do tej pory nie wykazała chęci zdradzenia go. Zresztą, kogo to obchodzi? A no tak i jest chuda, pewnie ze względu na drobne kości i fakt, że żywi się praktycznie samym

gotowanym ryżem, przynajmniej w domu tylko taką potrawę je. Często się uśmiecha, czasem jak się zapomni potrafi coś „poszwargotać” w swoim, chyba chińskim języku, zresztą nie wiem jaką mową posługują się Chińczycy. To też nie jest takie ważne.

Czwórka

Nazywamy ją „Czwórką”, choć pojawiła się tu razem ze mną. Jesteśmy równolatkami, oboje wyrosliśmy w tym pokoju, mamy już po pięćdziesiątce. Tak, ona też. Choć nigdy nie mówiła ile ma lat, ja wiem ile, skoro ma tyle, co ja. Znamienne jest to, że urodziliśmy się dokładnie tego samego dnia. Co prawda na dwóch przeciwległych krańcach kraju, ale wiekowo jesteśmy bliźniakami. Nawet ją lubię, nie wiem dlaczego, a jednak tak jest. A ona? Hm, nie wiem i jest mi to obojętne. Tuż przed południem widziałem jej nieco korpulentną postać, jak odziana w szary prochowiec idzie chodnikiem w stronę sklepu. Słusznie zgadłem, że robiła to w celu załatwienia sprawunków. I miałem rację, po pewnym czasie ujrzałem ją wracającą z siatkami pełnymi zakupów, zresztą niedługo potem weszła do domu i zdąwszy płaszcz rozpakowała je, a potem włożyła do lodówki. Wkładała tam wszystko, łącznie z szarym mydłem do kąpiel, które kiedyś pomyliłem z ulubionym przeze mnie rodzajem sera i wyjąwszy z lodówki ukroiłem kawałek twardej kostki, następnie położywszy go na posmarowany masłem chleb, tak przygotowaną kanapkę zjadłem ze smakiem. Dopiero, gdy zacząłem jakoś tak podejrzanie się pieniść i nawet piana wyciekała mi aż z uszu, zorientowałem się w swojej pomyłce, a ona zobaczywszy napoczęte mydło miała do mnie pretensje, że uszczknąłem kawałek jej szarego szczęścia. Chyba do tej pory nie wybaczyła mi tej niezamierzonej zniewagi. Trudno, w życiu zdarzają się pomyłki, jak nie takie, to inne. W każdym razie jest rodzajem mojej siostry bliźniaczki, choć nie jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Ona była znajdą, podrzuconą moim rodzicom pod drzwi mieszkania nie wiadomo przez kogo. Praktycznie całe życie spędziliśmy wspólnie. Kiedyś miała nawet męża, z którym mieszkała tu, ale on zmarł jakieś dwa lata temu i od tej chwili pozostała samotną wdową. Jej dwoje dzieci rozproszyło się gdzieś tam po świecie, syn podobno nawet założył rodzinę, ale jakoś nie wykazuje chęci odwiedzania jej. Wiadomo tylko, że Czwórka ma wnuczkę, której nigdy nie widziała. Podobno nawet do niej tęskni, ale nic na to nie poradzi i wie, że skoro jest jak jest, to widocznie musi tak być. Pogodziła się już całkowicie ze swoim losem. Ja nie mam takich problemów i tak całe życie jestem samotny. To znaczy nie sam, w tych warunkach mieszkaniowych raczej trudno być samemu, ale jednak samotny. Przez tyle lat przyzwyczailem się do takiego stanu rzeczy i nauczyłem nie zawracać sobie głowy sprawami, które mogłyby mnie przygnębiać. Jak dotychczas doskonale sobie z tym radzę.

Piąta osoba i reszta

Pan Chrobotek ma tak na nazwisko, to nie jest żadna jego ksywka, lecz autentyczne nazwisko. W średnim wieku, nieco przy sobie, codziennie wychodzi rano do pracy, jak to określa „do roboty”. Po południu z niej wraca. Jednym zdaniem bardzo porządny człowiek, nawet nie pije. Znaczący się alkoholu, bo tak to w ogóle coś tam czasem pije, jak każdy zresztą. Ma nieco pociągłą twarz o wydatnej brodzie i trochę obwisłej mięsistej dolnej wardze. Mówiąc nieco sepleni, ale idzie go zrozumieć. Ma żonę, z którą tu mieszka. W nocy śpią razem w jednym łóżku i pewnie coś tam czasami ze sobą robią, skoro z tego związku powstało dziecko, dokładnie od półtora roku stanowiące siódmego lokatora. Jest nim dziewczynka o imieniu Anastazja. Bardzo miłe dziecko, czasami przychodzi do mnie łaszcząc się, jak jakieś małe zwierzątko i wyciąga pulchne rączki, by wziąć ją na ręce. Tak wymownemu gestowi nie sposób się oprzeć, więc w takiej sytuacji zawsze podnoszę ją z ziemi i przez jakiś czas wspólnie oglądamy krajobraz za oknem. Dziecko, jak to dziecko, po pewnym czasie się nudzi i po swoim daje znać, że chce zejść z „opa”. Wtedy stawiam ją na ziemi, a mały człowieczek zaczyna wędrować sobie po mieszkaniu, często coś tam

gaworząc do siebie. Jej rodzice mówią, że jestem jej wujkiem. Nie takim prawdziwym, spokrewnionym, lecz przyszywanym, współlokatorem, którego bardzo dobrze zna. To jedyna istota, którą nie dziwi, iż codziennie wyglądam przez okno. Choć może by coś powiedziała na ten temat, lecz na razie zbyt nie umie mówić, poza tym takie moje zachowanie to dla niej codzienny widok, więc czemu właściwie miałyby się dziwić. Ma takie samo nazwisko, jak jej rodzony ojciec – Chrobotek. Zresztą, jakie by inne mogła mieć, skoro jest jego rodzonym dzieckiem? Tak to już jest, że dziedziczymy nazwisko po naszym ojcu i bardzo dobrze nam z tym, a jeśli nie, to zawsze w przyszłości możemy je zmienić. W dzisiejszych czasach prawo daje wiele możliwości pod tym względem.

Co do pana Chrobotka, to oprócz nieco obwisłej wargi za bardzo niczym się nie wyróżnia. Kolejny szary człowieczek, jeden z wielu kręcących się po świecie, zaprzężony w wymuszone trybiki codziennej „roboty”. On w domu czasem coś je. Zawsze jest to jedzenie zakupione gdzieś na mieście, jego żona także je „miejskie” jedzonko. Państwo Chrobotkowie nie gotują sobie sami obiadów, bo, jak to któreś z nich kiedyś ujęło: „nie ma czasu na rozdrabnianie się i pichcenie domowych obiadków. Zresztą, po co, skoro możemy wyżywić się w mieście?” I całe życie ściśle trzymają się tej doktryny, jak Azjata swojej mantry życiowej. Nawet nie muszą jej sobie powtarzać codziennie i tak mają ją wbity w głowy. Dziecku także kupują wszystko na mieście. Czasami coś z tych zakupów przyniosą do mieszkania, by w spokojności domowego zacisza się tym pożywić. Zdarza się też, iż zamówią coś z dostawą do domu, ot choćby taką pizzę, czy gotową odżywkę dla dziecka. Taki już mają styl, Chrobotkowie.

Tak w skrócie wygląda moje codzienne życie i życie mych współlokatorów, oraz sąsiada z góry, który obecnie zdrowieje w szpitalu nudząc się tam okrutnie. To ostatnie wiem od pani Chrobotkowej, która codziennie chodzi go odwiedzać i po powrocie ze szpitala opowiada o nim, jego samopoczuciu i pacjentach leżących w raz z nim na sali. Podobno wczoraj nawet jednego z nich wypisano do domu, musiał chyba już wyzdrowieć i na jego miejsce dano kogoś nowego, ale sąsiad i tak się nudzi „jak mops”.

Zrobiło się późno, idę spać. Dobranoc.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

swistakos, dodano 29.07.2016 22:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.